

# Kronika tygodniowa.

Nie potrzebuję chyba Szanownym Czytelnikom opowiadać, że wiosna jest już w całej pełni, wie to bowiem każdy, kto bodaj raz wybrał się na plantację, skąd gawrony już całkowicie wyewakuowano, lub na Błonia, gdzie ruch jest wielki, rowerzyści jeżdżą sobie najspokojniej po ścieżkach, przeznaczonych dla spacerującej publiczności, sympatyczne kózki skubią sobie najspokojniej trawkę, a zakochane pary gruchają w parku Jordana, do Oleandrów mając wstęp wzbroniony.

Weseli się więc każdy, iż zielono się zrobiło, ja się jednak smucę, gdyż opowiadał mi jeden ze znajomych, że wiosna jeszcze nie jest całkiem pewna, a na dowód pokazał mi w swym ogródku krzak agrestu, który dotąd jeszcze się nie rozwinął, choć, wedle zgodnego oświadczenia ogrodników, pod tym względem trzyma prym pomiędzy wszelaką roślinnością.

Wytłumaczyłem mu, że prawdopodobnie w bieżącym roku agrest strejkuje, tak, jak uczyniły kury przed samymi świętami Wielkanocnymi, co spowodowało znów magistrat do ogłoszenia nowej taryfy maksymalnej, według której jajka poszły w górę.

Prócz mnie smuć się także saneczkarze, stracili bowiem nadzieję, by tak prędko można było używać przyjemności kręcenia sobie karków na Panieńskich Skalach. Urządzono też wobec tego stypę pogrzebową w jednym z krakowskich lokali, by „oblać” zakończenie sezonu, który, jak słuchy mnie dochodzą, w tym roku nie może się poszczycić ani jednym małżeństwem, i to nawet wojennem.

Ponieważ wódeczność, w myśl rozporządzenia władz wyższych, wolno sprzedawać tylko do godziny siódmej wieczorem, nic też dziwnego, że się ogromnie spieszą, a o lepsze szły obie płci, silniejsza i nadobna, która, zaznaczyć to muszę dla słuszności, pod tym względem ma już zupełną wprawę i smoli wodę, jakby to była woda zwykła, nic sobie z tego nie robiąc, że w ten sposób można łatwo stać się właścicielką lub właścicielem czerwonego nosa.

Gdym jednej ze znajomych „spirytystek” zwrócił uwagę na możliwość takiej polichromii sympatycznego zresztą oblicza, rzekła:

— U wa! Będę dalej pić, to nos będzie fiole towy, tak jak pański, a potem zielony!...

Wracam jednak do saneczkarzy.

Oblewano więc saneczki tak energicznie, iż jeden z uczestników biesiady zwrócił aż uwagę nadobnej swej sąsiadce słowy:

— Mamo! Ty widzisz, a nie grzmisz?

Mama jednak nie zagrzmiła, gdyż jej tam nie było. Był jeno jej konterfekt, a ten, jak wiadomo, gadać, a tem mniej grzmieć nie umie. Odezwanie nie speszyło wcale niewiasty, owszem, z tem większym rozmachem wychyliła następny puhar, dając w ten sposób piękny przykład równoprawnienia obu płci, zwłaszcza, że działo się to w dniu świętego Jerzego, patrona rycerstwa i niektórych profesorów filologii.

Do wiosennych objawów zaliczyć także należy otwieranie okien, wietrzenie mieszkań, trzepanie dywanów, co znów daje powód do wojen domowych. Sam byłem świadkiem tego rodzaju zapasów, które rozpoczęły się walką podjazdową na języki, nie wiem zaś na czem się skończyły, aczkolwiek bowiem proszono mnie, bym przyjął mandat do komisji, mającej ułożyć preliminarza pokoju między obiema stronami, wolałem dać sobie spokój, wychodząc z zasady, że nie warto pchać palca, a tembardziej nosa między drzwi. Zastąpił mnie inny dyplomata, który lepiej się zna na tem i, dzięki jego zabiegom, pogodzili się powasnieni.

Część Krakowian, czując wiosnę, radaby też wyjechać z miasta, ponieważ zaś jest między nami obecnie wiele osób, lubiących wszystko załatwiać, jak powiada Rusin: „chytyro, mudro, newetykim koszto”, nic też dziwnego, że znalazły się i takie, które pożyteczne radeby połączyć z przyjemnem, to jest ewakuację z wyjazdem za granicę.

Przed kilku dniami do jednej z komisji magistrackich, nie wiem jednak dokładnie do której, spisującej ludzi, czy krupy, zgłosiły się dwie bardzo arystokratycznie wyglądające niewiasty, mówiące przez nos, z zapytaniem, czy na koszt miasta nie możnaby wyjechać do Szwajcaryi i bawić tam do jesieni, później zaś wybrać się na zimę w stronę Riwiery, wszystko im już jedno, jaką ona będzie, francuską, włoską, czy nawet austriacką.

Odpawiono je, rzecz prosta, z kwitkiem, odsyłając do Towarzystwa opieki nad wstydzającymi się pracować, które tego rodzaju osobnikom w miarę

funduszków udziela zapomóg. Czy tam się im powiodło, nie wiem, w każdym razie życzę im szczęśliwej podróży.

Ja tam na coś podobnego pozwolić sobie nie mógłbym. Jeśli wybiorę się tramwajem na Podgórze, chwale się potem przez kilka dni, iż właśnie wróciłem z „podróży na południe”, a że umiem błagować, a ludzie wiedzą, iż jestem wzorem prawdomówności, wierzy mi każdy i aż gębę rozdziawia, słuchając mych opowiadań i wrażeń.

Jedno jednakowoż mam wiośnie do zarzucenia. Według zgodnego zdania przyrodników budzi się wówczas cała przyroda do nowego życia, to przecież najgorsze, że wówczas budzą się i rozmaite talenty poetyckie, które dotąd drzemały spokojnie, niczem owe fioletki w trawie, drażniące tak mile nasze powonienie.

Ot, nie dawniej, jak przed trzema dniami, zgłosił się do mnie pewien bardzo młody jegomość, który przyniósł ze sobą całą torbę swych utworów, prosząc o wskazówki, w jakim kierunku ma dalej pracować.

Gdy się już porządnie wygadał, pokazując cały stos bibuły, powiada:

— Oto próbkil!

— Zapewne bez wartości! — wyrwało mi się, przeglądałem bowiem przed chwilą przepisy pocztowe, dlaczego zaś, o tem wspomnę później.

— Bardzo proszę! — odparł urażony — Czytałem je mojej cioci, a ona orzekła, że czegoś podobnego nie posiada dotąd nasza literatura. Wobec tego chciałem zasięgnąć jeszcze pańskiego zdania.

— To zaufanie z pańskiej strony ogromnie mi pochlebia — ja mu znów na to — muszę się jednak zastrzedz z góry, że na poezji nie znam się zbyt mocno.

— Ale w każdym razie może mi pan wskazać na przykład jakiś podręcznik, którego miałbym się trzymać...

— O! To mogę zrobić!... Przedewszystkiem radzę panu kochanemu kupić sobie za dwadzieścia halerzy „Prawidła pisowni polskiej”, wydane przez Akademię Umiejętności. Są i inne tego rodzaju publikacje, tamte jednak są zbyt drogie... Ortografia, to pierwsza rzecz, której wymagamy od poety. Rymy i rytmy przyjdą już same z siebie, jej trzeba się uczyć!

— Ja, proszę pana, piszę tylko białym wierszem, bo to łatwiej...

— Oczywiście! Zechce mi pan zostawić swe utwory, gdy będę miał wolny czas, przeglądnię je i dam odpowiedź! Proszę jednak nie kłaść koło pieca, gdyż służący mógłby się pomylić... Najlepiej ot tutaj, na tym koszu!

— Także się boję!

— Bez powodu! Kosz jest całkiem pełny!

— A kiedy mam się zgłosić po odpowiedź?

— W maju!...

Na tem skończyliśmy rozmowę. On poszedł w swoją stronę, a ja w swoją, to jest do biurka, na którym leżał list, adresowany do Redakcji, pozabawiony jednak całej swej ozdoby, to jest wojennej marki. Pozostały tylko ślady miejsca, na którym ją przylepiono...

Byłem niepokojony, gdyż marki zbieram dla jednego ze swych przyjaciół, który chce w ten sposób zebrać fundusz na zakupno bodaj chińskiego dziecka, nie mogąc w inny sposób dojść do potomstwa. Tymczasem krzywdzi jego i mnie, kto, nie wiem, ale się domyślam i, kto wie, czy kiedyś tego głośno nie powiem, gdy mi już zabraknie cierpliwości, oddzieranie marek powtarza się bowiem już od dłuższego czasu. Gdyby nadawca zapomniiał list opłacić, poczta kazałaby nam zapłacić tak zwane *Strafporto* i zawsze tego (co się jej, nawiasem mówiąc, bardzo chwali) pilnie przestrzega, jeśli więc doręcza nam korespondencję bez marki, nawet ze śladami, iż była, ale jej już nie ma, gdzie szukać winowajcy? Kto łaskawy, niechaj sobie dośpiewa sam w duszy, ja mu tylko tyle powiem, że znałem sam pewną panią, zatrudnioną na pocztę, która także zbierała marki... A może jej nie wolno?...

Ponieważ maj się zbliża, radziłbym więc temu lub tej, która mi na złość robi, niechaj sobie da spokój. Czyliż nie jest przyjemniejszem, zamiast zbierać marki, grać n. p. z narzeczonym w zielone o calusa? Ja sam jestem gotów do tego, bo teraz wiosna i wigor wstępuje nawet w stare kości! Wiór do wióra czuje miłosne zapędy, jak mawiał ś. p. Zagłoba, cóż dopiero człowiek, który z natury rzeczy jest daleko od nich kochliwszy?

Ponieważ widzę, że wiosna działa i na mnie, bojąc się tego, bo to już w tym wieku nie wypada, przechodzę więc do innej beczki, do której też i Szanownych Czytelników uprzejmie zapraszam.

Na samem jej dnie widzę babkę, ale nie tą, ży-

jącą obecnie w poezji ludowej, a ongiś, przed laty, zmarłą podobno w Skawinie, ale prawdziwą babkę, gdzieś z pod Cieszyna, która wnukom swym przepowiedziała, że Polska będzie wolną i będzie miała znów swego króla w tym roku, gdy Wielkanoc przypadnie na dzień św. Wojciecha.

Według zaś kalendarza stanie się to w roku 1916, o ile naturalnie tymczasem nie zmienią dotychczasowego porządku, lub nie zniosą wogóle świąt.

Autor niniejszego opowiadania, pomieszczonego w śląskim „Poście Ewangielickim”, a powtórzonego w katolickiej „Prawdzie”, kończy: „Poczekajmy jeszcze rok, a będziemy mogli sprawdzić, czy przepowiednia się spełni, albo nie”.

Trudna rada, nie mamy nic lepszego do roboty, czekajmy więc, a kto wie, czy się nie doczekamy! Wówczas będzie można ogłosić całemu światu, że babka z pod Cieszyna zakasowała zupełnie panią de Thébes, której proroctwa spełniają się o tyle, o ile ogłoszono je po fakcie dokonanym.

Do garści przepowiedni, ogłoszonych już poprzednio w sprawie pokoju, przybywa więc znowu jedna, raczą ją sobie Szanowni Czytelnicy łaskawie zapamiętać, a jeśli się nie ziści, mieć pretensję do owej ś. p. babki, a nie do mnie, który tylko *relata refero*.

Równocześnie z tą sprawą zwrócono mi także uwagę, iż powinienem koniecznie wspomnieć o tak popularnej osobistości, jaką jest Aron Gajer, który, wyewakuowawszy się z Krakowa wbrew swej woli, zmarł nagle w Chrzanowie.

W życiu politycznem nie zetknąłem się z nim nigdy, ani ja jego, ani on nie był nigdy mym kontrkandydatem, nie głosowałem też na niego, gdyż wówczas głosu nie miałem, pozostawałem natomiast z nieboszczykiem w bardzo ożywionych stosunkach handlowych i, choćbym chciał, nie mogę o nim powiedzieć nic złego, zwłaszcza, że... *de mortuis nihil nisi bene*. Sądję, że znajdzie się ktoś, kto poświęci zmarłemu specjalny nekrolog i oceni należycie jego działalność polityczną i ekonomiczną, moje pióro jest do tego za słabe.

Z czystem sumieniem możemy przecież powiedzieć, że znał go cały Kraków i niejednemu z nas, gdy przechodzi ulicą Szpitalną, brak go, niczem zastąpić się nie dający.

A gdyby nie wojna, kto wie, czy nie byłby żył i handlował do dnia dzisiejszego!

Na zakończenie zostawiłem uczony traktat o chlebie wojennym i gorący apel do pana fizyka, by nas wziął w opiekę swą przemowną, gdyż piekarze sprzyślięli się na nasze zdrowie i chcą nam gwałtownie zołądki i kiszki poklajstrować.

Jadłem już nieraz ciemny chleb, ciemniejszy nawet niż obecne przepisy rozkazują, był on przecież należycie wypieczony, gdy tymczasem sprzedawany obecnie jest tylko z wierzchu wysuszony, wewnątrz zaś tworzy jeden miły zakalec.

Kto się bez chleba obejść nie może, cierpi wobec tego na różne przypadłości zołądkowe, *caveat* więc *dominus physicus*, bo może być źle! Zołądek i kiszki nasze wołają o pomoc i opiekę i, sądję, nie zawiodą się na tem.

Radziłbym wobec piekarzy zastosować środek, może zbyt drakoński, ale przecież pewny. Który z nich przyłapany zostanie na sprzedaży niewypieczonego chleba, *vulgo* zakalca, niechaj zmuszony będzie na miejscu zjeść cały bochenek, a z pewnością odniechce mu się na przyszłość igrania z naszym zdrowiem!

Także z urzędu powinno być zakazaniem ogłaszanie przepisów na magistracki gulasz, mamalygę i t. p. specjały, które mogą być dobre w okresie przedwyborczym, ale nie teraz, kiedy każdy powinien dbać o swoje zdrowie.

Połowica moja spróbowała według onej recepty przygotować różne smakołyki i, co Państwo powiecie, gulasz smakował akurat tak, jak mamalyga, a ona znów odwrotnie, jak gulasz. Na drugi dzień po spożyciu wypiliśmy na spółkę sześć flaszek gorzkiej wody i to nam dopiero ulżyło!

Ale na podobne zbytki w tych ciężkich czasach zbyt często pozwalając sobie nie można...

Do owych dziesięciorga przykazań sanitarnych, o których w poprzedniej kronice wspominałem, dodałbym wobec tego jeszcze jedno, które miałyby być wielkimi literami wypisane w każdym sklepie i każdej jadłodajni:

„Szanuj zdrowie należycie,  
Bo, jak umrzesz, stracisz życie!”

Przyznam się zaś, że aczkolwiek sam tego na sobie nie doświadczyłem, przypuszczam przecież, że chyba nie musi być przyjemnem, gdy się człowiek pewnego dnia obudzi... nieboszczykiem i to zmarłym z powodu niestrawności!...